

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 18

WĄBRZEŻNO, DNIA 17 SIERPNI 1935 ROKU

ROK 5

Co widziały gwiazdy

Gdy gwiazdy wracały do domu z nocnej swej podróży po niebieskim sklepieniu, miały sobie zawsze dużo do opowiadania.

— Opowiadajcie, coście widziały i słyszały na tej pięknej ziemi, na którą ja mogę tylko raz na sto lat spojrzeć — prosiła jedna z nich.

— Wędrowałam ponad lasem — odpowiedziała małeńka gwiazdeczka. — Najpierw nie mogłam nawet przeniknąć owej gęstwiny, ale potem dostrzegłam między gałązkami małeńkie okienko, wcisnęłam się przez nie i oświeciłam leśną ścieżynę.

Biegła po niej sarną, świeciłam jej całą drogę aż do strumienia dokąd szła się napić, ale kiedy za chwilę na tej samej ścieżce ukazał się myśliwy, schowałam się coby prędzej za gałązki, aby miał drogę ciemną i aby nic złego nie mógł zrobić owemu ładnemu, wysmukłemu zwierzątku.

— Dobrze zrobiłaś — rzekły towarzyszki — a ty gdzie byłaś? — pytały innej gwiazdy.

— W wodzie — odpowiedziała.

— W wodzie? Nie żartuj, nie żartuj, powiedz, jak mogłaś się dostać do wody?

Gwiazdeczka mrugnęła tylko z uśmiechem i mówiła dalej:

— No, chociaż nie ja sama, ale mój obraz skapał się we wodzie. Spozstrzegłam ciche, głębokie jezioro, dookoła rozciągały się ciemne gęste lasy, a nigdzie głos się nie odzywał. — Zajrzałam do wodnej toni i zobaczyłam igrające w niej rybki. Posłałam im więc mój złoty promyk. O szkoda, że nie widziałyście, kochane siostry, co się potem w wodzie działo! Byłyście się serdecznie uśmieły... — Przez chwilę rybki nieruchomie patrzyły z daleka na jasną gwiazdeczkę, potem przyszyły bliżej otwierały pyszczek i chwytaly jedną po drugiej mój świetlany obrazek jak gdyby to było coś do jedzenia. Ubawiłam się tem serdecznie i jutro znowu nad jezioro powędruję.

A gwiazdy, słuchając tego opowiadania, śmiały się także.

— Ja zabłądziłam między jabłonie w ogrodzie — mówiła trzecia gwiazdeczka.

— Usypiała tam w gniazdku swe dzieci zięba. Jedno maleństwo nie mogło zasnąć; nadokazywało się z nadto w ciągu dnia, miało potem niespokojny sen i budziło się bezustannie. Miała z niem zięba kłopotu co niemiara! Uspakajała je i tuliła do snu temi słowy:

— Patrz, już na niebie, nad naszym gniazdkiem nocna lampka świeci. — Zamknij oczęta i śpij! śpij moje dzieci!

— A ja świeciłam na drodze podróżnemu — zaczęła z kolei swoje opowiadanie inna gwiazdka. — Był to młody chłopiec, szedł w świat. Po rozłączeniu się z matką, miał jeszcze oczy łzami zalane! W tem spojrzał na mnie, uśmiechnął się błogo i powiedział:

— Ach, witam cię, miła gwiazdeczko! Tak jesteś jasną, jak spojrzenie mej drogiej matki. Świeć mi, świeć, a prowadź tą drogą, którą mnie będą wiodły jej wspomnienia i jej nauki. O, moja śliczna gwiazdeczko, już mi teraz weselej!

I dobry chłopiec postępował dalej śmiało, obracając ku mnie co chwila swoje rozjaśnione oblicze, a ja błyszczałam, jak tylko mogłam, najpiękniej i przyjaźnie na niego mrugałam.

— A ty gdzie byłaś siostrzyczko? — zwróciły się z zapytaniem gwiazdki, do jednej małeńkiej, która dotąd milczała.

— A ja małą duszyczkę na świat wprowadziłam — mówiła gwiazdka. Wziął ją aniołek z rajy i położył matczyne na bielutkiej pościółce. Ja mu świeciłam w drodze. O, jakże matka była rada! Z jakim szczęściem spojrzała na niemowlątko! Jak gorąco przycisnęła je do serca!

— Ty, życia mego najpiękniejsza gwiazdeczko, zawołała — o jak mi z tobą, moja droga dziecino będzie dobrze i wesoło. Będę pracować dla ciebie i myśleć o tobie dniem i nocą.

I ucałowała usteczka małeńkie ze słowami:

— Umiejcie tylko uszczęśliwiać innych!

I ucałowała nóżki, mówiąc:

— Nie czyńcie nigdy kroku nieprawego!

Całowała rączki, wołając:

— Miłujcie pracę!

A serduszko całowała najgoręcej i mówiła:

— Dziecino moja, kochaj do ostatniego tchnienia Boga, naród i każdego bliźniego.

I przycisnęła raz jeszcze maleństwo do siebie i szepnęła z głębi duszy:

— Niech cię Bóg strzeże, dzieciątko moje

— Dobra matka! Oby jej na radość i pociechę wyrosła dziecina — szepnęły wzruszone gwiazdy...



Krasnoludki i djabeł

W pewnej wiosce powiatu wejherowskiego skradziono pewnemu gospodarzowi pieniądze. Podejrzanie o kradzież padło na pewnego ubożego robotnika, którego też skazano na śmierć przez powieszenie. Po zachodzie słońca zawisł nieszczęśliwy na szubienicy.

Na szczęście przybiegły dobre krasnoludki, wspięły się czempredziej na szubienicę i przecięły powróż. Nieszczęśliwy odzyskał życie, a obdarowany bogato przez krasnoludków umknął do obcego kraju.

Czyn krasnoludków bardzo martwił djabła. Złapał wszystkie krasnoludki, włożył je do ogromnej butelki i wrzucił do obok płynącej rzeczki.

Nad tą samą rzeczką pasał pewien pasterz swe owce. Ten zauważywszy płynącą butelkę, wyciągnął ją z wody i uwolnił krzyczące krasnoludki. Następnego dnia przyniosły krasnoludki temu pasterzowi za wyratowanie ich jeden kosz napelziony zielenią, który ów pasterz jako bez większej wartości zostawił w krzaku. Jakież zdziwienie jednak ogarnęło go, gdy po kilku dniach popatrzył przypadkowo do wspomnianego kosza. Z radością stwierdził, że zielenią zamieniła się w złoto. Tym sposobem dzięki krasnoludkom pasterz się wzbogacił i stał się poważnym gospodarzem w swojej wsi.

Eugenjusz Tkaczyk.

Dziwne przeczucie*(Zdarzenie prawdziwe)*

Lipcowy dzień dobiegał końca... — Gdzie nigdzie już rozpoczynały się żniwa... Jest godzina 6-ta pod wieczór. Zbigniew Rolwicky, syn mleczarza, na rowerze jedzie sobie szosą do domu. Czuje jakiś lęk, obawę, a może ktoś mnie napadnie i obrabuje z pieniędzy, które z sobą wiozę... W marynarce w portfelu ma Zbigniew pokątną sumę, bo aż 5.000 złotych, przeznaczone dla gospodarzy za dostarczone mleko. — Szcześnie już przejechał długi las, a jeszcze go czeka daleka droga. Śpieszno mu jest, więc jedzie szybko.

Robiło się szaro... powietrze było duszne, co zwiastowało niedaleką burzę. Z obawy Zbigniew co chwilę się ogląda. — Czy to może nie lepiej będzie, gdy schowam pieniądze do trzewika, na wszelki wypadek — A może mnie napadną złodzieje, to już by tak przedko pieniądze nie znaleźli.

Staął. Obrócił się jeszcze raz wokół, czy go nikt nie obserwuje — nie! szosa była pusta, nikogo nie widać! Szybko wyciągnął z zanadru portfel, wyjął one 5.000 zł w banknotach i zaraz je ułokował na uboczu do prawego trzewika....

— Tak, teraz na wolę Bożą, jak znajdą, to znajdą. Zbigniew całkowicie zdał się na łaskę Boga. Zdjął marynarkę i przerzucił przez kierownicę, siadł na rower i ruszył w drogę.

Zaledwie ujechał niecały kilometr, gdy nagle z za przydrożnego drzewa potoczył się wielki kamień, aż pod same przednie koło, tak, że Zbigniew z rowerem się przewrócił. Nim się zorientował i wstał, już stało obok niego dwóch zamaskowanych drabów. Jeden z nich trzymał w ręku rewolwer.

— Stój! ręce do góry! ani kroku dalej! — zawołał ten z bronią... Ty z sobą wiesz pieniądze, przeznaczone dla gospodarzy za mleko. Bez oporu je tu dawaj, bo jak nie to....

— Panowie! — rzekł z bojaźnią Zbigniew — mówię, że żadnej gotówki dla gospodarzy nie mam, proszę zrewidujcie moje kieszenie, to się przekonacie!

— Zobaczmy! zobaczmy! mój braciszku. Walek! dalej, spenetruj mu każdą kieszeń!

Zacząła się rewizja... Każda kieszonka, każdy róg ubrania, wszystko zostało gruntownie przeszukane. Twarz Zbigniewa okrywała się rumieńcem, to znów bladł. Co chwilę przechodził go dreszcz strachu. — A jak znajdą? —

— Jest portfel! — krzyknął uradowany drab, — ale w nim oprócz kilka drobniaków i dowodu osobistego nic niema.

— To co! — zawołał ten z bronią, — dalej szukaj — chyba nie myślisz zadowolić się temi kilku groszami co? Niech je sobie zatrzyma. Powiedz mi lepiej smarkaczu, gdzie masz te pieniądze dla gospodarzy?! i zaczął Zbigniewem trząść z całej siły, — bo jak nie powiesz, to cię rozumu nauczę na mój sposób...

— Panowie... och! mówię wam, że żadnych pieniędzy przy sobie nie posiadam... och!

— Walek, dawaj mu spokój, czy go chcesz udusić! — wziął go i odsunął na bok.

— Możesz śmiało jechać, jesteś wolny, rzekł ten z bronią.

— Nie, nie puszczaj go, niechże ja zobaczę na koniec jeszcze do trzewika! — zawołał drugi.

— Jezu, ratuj! — cicho westchnął, teraz jak znajdą, to koniec ze mną, pomyślał Zbigniew i w duchu z cicha szeptał: „Kto się w opiekę podda Panu swemu...“ I bandyta, zabrał się do rewidowania. Powoli odwiązał sznurówadło u lewego trzewika i ściągnął go z nogi. Z dziesięć razy oglądał i obmacywał trzewik i nic nie znalazł ku wielkiemu rozczarowaniu.

— Co tam, on tyle forsę będzie ci chował do buta! przestań lepiej, nie bądź głupi, szkoda czasu na zabawki! ha... ha... ha... — zaśmiał się, — Może masz i rację Melusie, ale nie śmieję się, a jakbym tak zobaczył do prawego buta co?

— Głupis, zawracasz mi głowę i nic więcej. Nie zabraliśmy ci nic i żadnej krzywdy ci nie zrobiliśmy, to też nikomu o tem ani słowa, rozumiesz!

— Tak, rozumiem, — rzekł ucieszony Zbigniew, albowiem był ocalony.

— No, wiele się nie gap, tylko bierz swoje manatki i jazda do domu!

Zbigniew siadł na rower i jak strzała pomknął do domu, gdzie ze przebytych wzruszeń padł ojcu w objęcia, nie mogąc wymówić słowa. Po długiej dopiero chwili opowiedział wszystko.

— Dzielnieś się spisał Zbisiu, a i dobrze zrobiłeś, że schowałeś pieniądze tam, gdzie ci przeczucie wskazało, inaczej bylibyśmy bardzo poszkodowani, a może i zrujnowani...

Przeczucie, które go ostrzegło, by pieniądze schował właśnie do prawego bucika, było dla tego chłopca zbawiennym wyjściem z tak groźnej i niebezpiecznej opresji.

Wiktor Pr...ki.

**Chłopczyk i koziołek**

Był sobie raz mały chłopczyk, któremu miłsze były ciasteczka, niż do czytania książeczka, który wolał płać figle, swawole, niż uczyć się w szkole, dlatego to ludzie się z niego śmiali i leniuszkiem go nazwali.

— Hm! — pomyślał sobie chłopczyk — pokażę ja wam, że i ja pilnym być umiem, — wziął książkę, wyszedł z nią na drogę, którą wszyscy przechodzili, usiadł na leżącym koło rowu pniu drzewa, otworzył książkę i niby to czytał, a patrzył tylko, czy wszyscy ludzie widzą, że on czyta i uczy się pilnie. Ale wcale nie patrzył do książki, położył ją tylko na kolanach do góry nogami, sam zaś zaczął kiwać głową, udając, że czyta pilnie i tak kiwał się i kiwał, aż mu powieki zaciężyły, zamknęły się oczy, a chłopczyk zadrzemał.

Drzemał sobie, drzemał, główką kiwał i kiwał, aż tu drogą od ogrodu idzie koziołek, wesoly towarzysz jego zabawy. Stał koziołek, patrzy na chłopca, a chłopiec wciąż kiwa się nad książką. Koziołek myśli sobie: Pewno on na mnie tak kiwa, abym się z nim zabawił — i i ostąpił bliżej, ale chłopczyk nie spostrzegł koziołka. I jakże miał go spostrzec, kiedy oczy miał zamknięte. Więc koziołek cofnął się kilka kroków w tył, a potem z całej siły uderzył chłopczyka rogami w głowę.

Śpiący chłopczyk stracił równowagę, przewrócił się przez kłodę jak długi na ziemię, a koziołek bil go dalej różkami, nadbiegł i Bryś i zaczął go szarpać z drugiej strony — i tak skończyło się owo czytanie przy drodze. Ani jedna literka nie weszła do główki chłopczyka, ale zato koziołek nabił mu na czole dużo guzów.

**Anegdota historyczna**

Królowa Marysieńka, żona króla polskiego Jana III, przyjęła raz jako pania biednego szlachetkę, młodego i nieświadomego dworskiej etykiety. Kiedy na drugi dzień kazano mu stać za krzesłem królowej i odbierać talerze z niedojedzonymi potrawami, sądząc, że one są dla niego przeznaczone, szedł z każdym talerzem do drugiego pokoju i tam do czystości zjadał, co pozostało. Gdy po 6-tym danju królowa mu dała talerz z niedojedzonym szczupakiem, będąc już syty, postawił go przed królową z powrotem ze słowami: „Dziękuję Waszej Królewskiej Mości, ja się już tak najadłem, że ledwo nie pękne!“

Baśń o djable Rokicie i o przebiegłym chłopie

Był sobie djabel psotny, Rokita, osoba znaczna i znakomita. W bagnach nad Narwią mieszkał od wieka, na utrapienie każdego człowieka.

Złośliwe figle kmiotkom wciąż czynił, temu coś spsocił, temu zawinił, to się pod mostem ukrył wśród nocy, jęczy, narzeka, wzywa pomocy.

A gdy z jarmarku chłop wracający usłyszy zdala głos ten jęczący... gdy znijdzie z woza patrzeć, kto płacze, bies jednym susem na wózek skacze, popędza konie, gna je z kopyta, aż je ochwaci djabel Rokita.

Raz idzie lasem djabel Rokita i już ze złości zębami zgrzyta, bo dawno żadnej nie złowił duszy, więc mu Lucyfer naderwał uszy.

A gdy tak idzie, patrzy, chłop siedzi, pewnie z myślami srodze się biedzi.

— Co ci to, czelcze — Rokita rzeknie, — tak się rozszlochać wcale nie pięknie. Powiedz mi szczerze o trosce owej, może znajdziemy sposób jakowy.

— Trudno to będzie — chłopek odrzeczce, — ciężka to sprawa, dobry człowiecze. Trza mi pieniędzy, i to nie mało, takby się z dziesięć dukatów zdało.

— Dziesięć dukatów, toć to grosz mały, ja ci nasypię kapelusz cały, ale warunek postawić muszę, że za pieniądze oddasz mi duszę.

Takiś ty, bratku — chłop myśli sobie, — tożes ty djabel w własnej osobie.

I mówi:

— Zgoda, zgadzam się na to, kapelusz złota będzie zapłatą, a duszy waćpan niech się spodziewa, gdy wszystkie liście opadną z drzewa.

Cieszy się djabel z łatwej zdobyczy, a kmieć już w myśli dukaty liczy.

Na dzień następny zmówił się z biesem i w las Rokita smyrznął obcesem.

Dnia następnego, gdy przyszła pora, chłop z kapeluszem czeka z wieczora.

Przyleciał djabel z workiem pieniędzy, do kapelusza sypie czempredziej

Wysypał jeden wór, srodze tłusty, wysypał drugi, kapelusz pusty, wysypał trzeci, wysypał czwarty, kapelusz ciągle pusty, rozwarto.

— Co się to znaczy? — myśli Rokita i ze zdziwienia za łeb się chwyta, po nowe złoto pędzi w pośpiechu.

A chłop przemyślny pęka ze śmie-

chu, bo w kapeluszu, co jak rzeszoto, dziurami leci djabelskie złoto, wpada do dołu, a dół nielada, zmieści się w onym złota gromada.

Powraca djabel obławowany, do kapelusza ciska kubany, a gdy wysypał worków szeregi, wreszcie kapelusz pełni po brzegi.

— No! tom się zmachał — Rokita powie, a pot mu ciurkiem spływa po głowie. — Jam spełnił swoje, ty spełnij swoje, przyjdę w jesieni po duszę twoją.

Zaśmiał się, świsnął, jak wół, tak ryknął, kopytem szasnął i w lesie zniknął; a kmieć poczciwy z wielką ochotą aż na trzy wozy ładuje złoto, jeden na kościół księdzu oddaje, drugi dla biednych w miejscu rozdaje, sobie wóz trzeci na końcu bierze i żyje wesół, pracuje szczerze.

Czas szybko mija, przechodzi lato, zbliża się jesień z swą barwną szatą, liść wędnie, żółknie, wiatr go rozsiewa, aż wreszcie nagie zostały drzewa.

Raz, o świtaniu, kmieć siedzi sobie, wtem bies się zjawia w własnej osobie.

— Przepraszam bardzo, iż trudzić muszę, liści już niema, proszę o duszę. Wszak taka była nasza umowa, niech waść nie zwleka, dotrzyma słowa.

— Co? liści niema — chłop z śmiechem powie — chyba waszeci całkiem źle w głowie.

I wiedzie djabła, gdzie bór sosnowy szumi na wietrze, jak w dzień majowy.

— A ta zieloność? Toć to nie drwiny? Nie nagie jeszcze owe drzewiny. I póki one w swej szacie stoją, nie przychodź waszec po duszę moja.

Podskoczył djabel na cztery łokcie, tupie kopytem, gryzie paznokcie, lecz trudna rada, na nic gniew ony, las sosen będzie zawsze zielony.

A w takim razie przegrał Rokita, choć to osoba tak znakomita: chłop go oszukał przemądrzałego, więc całe piekło śmiało się z niego.

Kropla i skały

„Jakież to zamiary zuchwałe!
Ty, miękka, kropło wody, chcesz
wydrażyć skałę?”

Rzekła twarda opoka i dumnie
spojrzała

Na kropkę, co spływała,
Kropla nic nie odpowiada,
Ale jak pada, tak pada...
I stałością dokazała,
Ze rozleciała się skała.

I. Krasicki.

Pochodzenie krasnoludków

Więcej, niż sto lat temu żył w Wejherowie pewien szewc, który był nadzwyczaj cheiwy i złośliwy. Żonę swą zmuszał do ciężkich prac nawet w nocy, za które wydzielał jej w nagrodę baty. Również od dzieci swoich wymagał, aby one mu pomagały naprawiać trzewiki i w ten sposób zarabiała sobie na dzienne utrzymanie. Nic dziwnego, że dzieci w wieku 3—7 lat będące nie pracowały tak sprawnie, jak zły ojciec sobie tego życzył i to spowodowało, że tenże wymierzał im chłosty aż krew z ust i nosa płynęła.

Ta codzienna chłosta była powodem, że dzieci nie a nic nie rosły. W wieku 14 lat osiągały zaledwie wzrostu normalnego dziecka 4-ro letniego. To bardzo martwiło szewca i jeszcze więcej zaczął znęcać się nad dziećmi. Pewnego razu posunął się nawet tak daleko, że wrzucił dzieci swe (a było ich pięcioro) do worka, zabrał rydel i motykę i udał się na w pobliżu leżącą górę zamkową i zakopał worek wraz z dziećmi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uratowały się dzieci, dostając się do chodników i groty podziemnej, gdzie urządziły sobie wygodne mieszkanie i kopać zaczęły, szukając za skarabami. Z biegiem czasu opanowały całą podziemną okolicę. Dzieci te więc uważać należy za pierwszych rodziców licznego rodu krasnoludków.

Eugenjusz Tkaczyk.

U JAGODOWEGO K R Ó L A



AUDYCJA DLA DZIECI
W SOBOTE 17. VIII. O GODZ. 15.30

Po tem wyższego męża można poznać
w tłumie.
Że on zawsze to tylko zwykły robić, co umiel
(A. Mickiewicz.)

O czem dowiedział się Władzio w Wąbrzeźnie

Henryk z Władziem śpiesznie idą ulicą. Władzio przyjechał w gościnę do Henryka; z zaciekawieniem obserwował ruch miasteczka, zapytując Henryka, dlaczego tak się śpieszy. Henio z tajemniczą miną rzekł:

— Władziu, dziś piątek!

— Cóż z tego, że piątek, u nas też piątek, a nie sobota.

— No, ale patrz 5-cia godzina. Musimy się przejść do drukarni, po gazetę. — Władzio zaciekawiony, zapytuje o tytuł gazety.

— U nas jest tylko jedna gazeta — jedna dla wszystkich. O wszystkim ona pisze. Nietylko to, co u nas w mieście się dzieje, lecz i w powiecie, na Pomorzu, w kraju a nawet w całym świecie. A co najpiękniejsze, to te ładne dodatki; i to coś dla każdego: „Rolnik“ dla gospodarzy, „Nasz Przyjaciel“ dla starszych, — no a dla nas, młodzieży, piękny i bogaty w treść... „Opiekun Działwy“.

Tu Władek przerwał rozmowę i znowu pyta o tytuł gazety. Henio, zadowolony, iż temat rozmowy zachwyca Władzia, opowiada dalej:

— Widzisz Władku, do „Opiekuna“ możesz i ty zasyłać swoje prace piśmienne. O ile te prace są dobre, będą zamieszczane i to z twoim podpisem.

To zdanie zaintrygowało Władka. Tymczasem Heniek opowiadał dalej:

— Zaraz ci powiem i tytuł tej gazety, tylko słuchaj: Jeżeli lubisz czytać książki, to i te otrzymasz w dodatku powieściowym. Wiesz, ja już mam jedną, a obecnie ułożyłem sobie drugą p. t. „Rekiny“ i wiesz ma blisko 300 stron.

— To ci gruba książka — przerwał Władek.

— Ale jeszcze nie koniec... W „Opiekunie“ to dopiero znajdziesz ciekawostki; jak zaczniesz czytać, — nie przerwiesz, aż do końca.

Tymczasem weszli do administracji. Ruch... panienki noszą, biegają, piszą.

— Jak u nas — rzekł Władek.

Henryk odebrał numery z całego tygodnia, bo był chory. Pokazał Władkowi.

— Wiesz, ja też sobie kupię numer i pokażę w domu.

Trzymając świeży numer w ręku, Władzio czytał wolno: „Głos Wąbrzeński“.

— Widzisz, jest ładny, a bardzo tani i bardzo poczytny. Teraz mamy połowę sierpnia, powiedz więc rodzicom, aby i oni zaabonowali to pismo, a nie pożałują, zobaczysz!

Ucieszony Władzio podziękował koledze, przyrzekając zaprenumerowanie gazety. Henio, zadowolony, podziękował za obietnicę i rażno ruszył z towarzyszem do domu, by zatopić się w „OPIEKUNIE“.

H. K. Silbernagel.

Na łące

*Mówi niania, że w dąbrowie
Chodzą do dnia aniołowie,
A gdzie stąpną nóżką bosą,
Tam zakwita kwiat pod rosą.*

*Gdybym kiedy rano wstała,
Tobym wszystko to widziała,
Bo, gdy się tak w łące bawię,
Ślad anielski drży na trawie.*

Marja Konopnicka.

Na wesolo

TYZ TO WYMYSŁY...

Do obserwatorium astronomicznego na jednym ze szczytów Beskidów wchodzi miejscowy włościanin i prosi, czy nie pozwolą mu choć raz popatrzeć przez lunetę na księżyc.

— Bardzo chętnie — odpowiada mu uprzejmy astronom — ale musicie, ojcze, przyjść tu wieczorem...

— O, tyz to wymysły — mruczy włościanin niezadowolony — wieczorem ja mogę widzieć księżyc i bez lunety.

—o—

MICHAŚ ZNA SIĘ NA RZECZY.

— Kto z was, moje dzieci, powie, czym się mógł zajmować Noe podczas pobytu w arce?

Podnosi rękę Józio z ostatniej ławki.

— No mów...

— Mógł się zajmować łowieniem ryb na wędkę.

— Owszem, dobrze chwali nauczyciel — rzeczywiście mógł się zajmować łowieniem ryb.

Na to podnosi rękę, sąsiad Józia.

— A co ty powiesz? — pyta nauczyciel.

— Mojem zdaniem, to Noe łapaniem ryb na wędkę mógł się zajmować tylko bardzo krótko, bo przecież miał w arce wszystkich stworzeń po parze, a na dwie glisty, to niewiele ryb można złapać...

—o—

DOBRCZE MYŚLI.

— Tatusiu, masz szczęście...

— Jakto?

— Nie potrzebujesz kupować nowych książek; zostanę jeszcze rok w tej samej klasie.

—o—

OSTROŻNOŚĆ

— Ciociu czy mogę wyjść do ogrodu popatrzeć na kometę, która ma się dziś pokazać?

— No, dobrze, idź Jasiu, ale pamiętaj — nie podchodź za blisko!

Nauczyciel: — Wymieniłeś mi wszystkie zwierzęta z wyjątkiem jednego. Ma ono szorstkie włosy, nienawidzi kąpieli, bywa zawsze brudne... No, zgadłeś już, Tomku? Tomek (zawstydzony): — To ja.

—o—

— Kaziu, coś ty zrobił, jak ty wyglądasz?

— Ano, proszę taty, wpadłem do kałuży i powalalem się.

— W nowem ubraniu wpadłeś?

— No, bo to tak prędko się stało, że nie miałem czasu zdjąć przedtem ubrania.

—o—

W BEZPIECZNYCH RĘKACH

— Dziaduniu, czy dziadunio ma zęby?

— Oj nie mam już, moje dziecko, wszystkie mi wypadły.

— Tak? To miew mi dziadunio potrzyma orzechy, ja zaraz przyjdę.

—:o:—

LOGIKA.

5-letnia dziewczynka zatrzymuje matkę przed kościotrupem i pyta, co to jest.

— To jest kościotrup, odpowiada matka.

— A co to jest kościotrup?

— To są kości człowieka.

— Jakiego człowieka?

— Takiego, co już dawno umarł.

Dziewczynka myśli przez chwilę, a potem pyta:

— Mamusiu! Czy jak człowiek umrze, to tylko jego mięso idzie do nieba, a kości to tu zostają?

—o—

ZAWSZE PEWNY SIEBIE.

Gapski udał się do przyjaciela, mieszkającego na wsi. Mają właśnie wyjechać na spacer konno. Gapski udaje znawcę i doskonałego jeźdźcę, przyczem kładzie na konia siodło obróciwszy je jednak tyłem naprzód.

— Ależ nie tak! — woła nań przyjaciel! — położyłeś siodło zupełnie naodwrot.

— A skąd ty wiesz, w którą ja stronę chcę jechać? — odpowiada zawsze pewny siebie Gapski.

—o—

Lekarz wezwany do cierpiącego Jasia: — Pokaż języczek... no wyciągnij go całkiem...

Jaś: — Nie mogę. On tam jest przymocowany.

—o—

— Dlaczego to, gosposiu, tak mało przynieśliście mleka?

— A bo proszę pani, to wszystko bez tę rurę wodociagową co pękła

—o—

W SZKOLE

Nauczyciel: Kiedy wiśnie smakują najlepiej?

Uczeń: Wtenczas, gdy niema w ogrodzie właściciela, a pies na łańcuchu.